Zylbersztejn Na krańcach

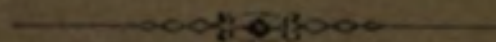
NA KRAŃCACH.

POWIEŚĆ W JEDNYM TOMIE

NAPISAŁ

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.



ŁÓDŹ
W drukarni „Dziennika Łódzkiego."

1887.

NA KRAŃCACH.

NA KRAŃCACH.

POWIEŚĆ W JEDNYM TOMIE

NAPISAŁ

Natan Zylbersztajn

z Wiślicy.

ŁÓDŹ
W drukarni „Dziennika Łódzkiego."

1887.



Дозволено Цензурою
Варшава, 29 Января 1887 г.

Było to w jednym z pięknych dni wiosennych. Lekki wietrzyk mdłem tchnieniem pieścił listki starych jodeł i świerków, któremi wysadzona była droga, wiodąca ze wsi Kuchar do Wiślicy.

Tuż za miastem rozpościerał się przepyszny krajobraz. Te strumyki, które cichym szmerem zdają się szeptać jakąś wieczną modlitwę, przebiegają w rozmaitych zakrętach pola i łany, gubiąc się w szczelinach, o których wiadomość sam Bóg tylko posiada. Dalej roztaczała się urocza rzeka Nida, płynąca równomiernem korytem do Wisły, owej cudownej odnogi Baltyku.

Drogą, po obu stronach kwieciem usłaną, szło kilku bachorów żydowskich, obszarpanych, zabrudzonych; niektórzy szli boso, inni trzymali podarte obuwie, zawieszone przez plecy na odrapanej gałęzi; szli parami lub oddzielnie, a za nimi w pewnej odległości szedł rebe (nauczyciel) i belfer (pomocnik nauczyciela), niosący jakieś pakunki w ogromnym worku. Z radosnych twarzy tych małych bachorów

i rozpromienienia rebego i belfera widać było, że to jakiś dzień uroczysty. Było to rzeczywiście „lag beomer" *).

Zanim przystąpimy do dalszego opowiadania, musimy się bliżej zapoznać z rebem („Reb Lajbełe").

Reb Lajbełe był to człowiek nizkiego wzrostu, nawet małym można go nazwać, w wieku 60 do 65 lat; trochę się jąkał — i nie mógł wymówić *r*, zażywał ciągle tabakę, palił fajkę i po każdem słowie oblizywał się, jak po konfiturach. W rozmowie musiał koniecznie interlokutora swego trzymać albo za brodę, albo przynajmniej za guzik od surduta, przytem trochę kulał na jedną nogę i nie lubił się czesać, wskutek czego jego pejsy nabrały formy kołtunowatej. Szkoła jego mieściła się w izbie podzielonej na kilka części, a mianowicie przy samych drzwiach była kuchnia, w której na małym klocku drewnianym z kańczugiem w ręku, lub oskrobanym kartoflem siedziała Sura Lieba, małżonka rebego.

Sura Lieba, była to druga żona Reb Lajbełe, kobieta lat 45 do 50, ze świecącemi policzkami, wiecz-

---

*) Trzydziesty trzeci dzień omeru. Od Wielkiej nocy do Zielonych świąt liczy się dni 49 (liczba nazywa się omer). Za czasów Rabi Akiba zaraza panowała między Tanaitami, a 33 dnia omeru ustała, oprócz tego Rabi Szymon Ben Jochua sławny Tanaita zgasł w dzień 33 omeru i uważał dzień ten za najradośniejszy w życiu; dlatego w dniu tym urządzają wszystkie chedery radosne przechadzki, rzucając do celu werferami (rodzaj dzidy z kawałkiem papieru na czworo złożonego) i t. p.

nie zasmarowanemi jakimś tłuszczem, w brudnym czepku, zakrywającym na szczęście połowę jej twarzy, w połatanej i z rozmaitych kawałków zlepionej spódnicy, a że ciągle kłóciła się i szwargotała, uzyskała więc przydomek Lieba *gregor* (szwargot). Otóż to była pierwsza część komnaty. Trochę dalej był długi stół o trzech nogach, a zamiast czwartej nogi służył róg łóżka, pod spodem którego leżały kartofle, buraki i kilka kogutów, które od czasu do czasu wrzaskliwem pianiem zabarwiały wykłady rebego.

Na ucztę szykującą się na „lag beomer", dzieci zbierają fundusze od świąt wielkanocnych i każde przynosi codziennie grosz, a ze summy zebranej rebe wyprawia dla całego chederu ucztę na pagórku w Kucharach. Uczta ta składa się zwykle z małych kiełbików, poławianych w rzece Nidzie, z rzepy i daktylów. Otóż dla spożycia tej uczty spotykamy cały cheder z rebem na czele, na drodze, wiodącej do Kuchar.

— Mój Baruchu — zagadnął rebe w zepsutym żargonie, idącego za nim belfera — dlaczego ja tu nie widzę mego Chaimka i dlaczego nie wziąłeś go ze sobą?

— Co tam Chaimek! — rzecze belfer zadąsany — to jest wielki szajgec, on ciągle lata z gojami.

— Jakto — rzekł zafrasowany rebe — co ty gadasz? przecie on taki nabożny, tak się kiwa przy modlitwie, taki yle (zdolny).

— Tak — westchnął belfer — widziałem w zeszłym tygodniu, jak syn samego burmistrza, co to nosi takie doktorskie szlify, coś tam z nim gadał, a on zobaczywszy mnie, schował się za drzwiami.

— Może on chciał mu pejsy obciąć albo krymkę zdjąć?

Nie dokończyli jeszcze tych słów, a już Chaimek cwałem gonił za nimi, trzymając w jednym ręku buty, a w drugim ugotowane jajko i pół kaszkietu z czapki, który został mu się jako reszta z bijatyki z bachorem w chederze, przezwanym Nysem Krocak.

Radość była wielka, gdyż Chaimek był ulubieńcem całego chederu, kochany przez rebego, pieszczony przez Surę Liebe, jego małżonkę i w ogóle swywolny i rozpieszczony do najwyższego stopnia. Ponieważ Chaimek będzie nam potrzebny do opowieści, musimy nieco bliżej się z nim zapoznać.

Ojciec Chaimka, Reb Szachne, handlował zbożem i skopami, jeździł na jarmarki, facyendował dobrami obywatelskiemi, kupował drzewo dla warszawskich komisyonerów, słowem pan Szachne był człowiekiem znanym w okolicy, a że był przytem uczciwym i dobrym, zyskał sobie zaufanie u obywateli i ogromny wpływ u swych współwyznawców. Nawet Reb Jo sele, rabin z Nowego Miasta, kiedy przejeżdżał przez Wiślicę, mieszkał, a nawet stołował się u niego, co się uważa za wielkie *zehie* (szczęście). Również burmistrz miasta, sekretarz, a nawet sam referent powiatowy jak przyjeżdżał, zawsze do pana Szachnego

wstąpił. Jedno mu tylko zarzucali w mieście, że za często w sobotę po obiedzie chodził do burmistrza, a niektórzy heretycy twierdzili, że nawet przysłuchiwał się, jak raz panna burmistrzówna grała na fortepianie. Niektórzy znowu sarkali, że pan Szachne trzyma jakąś gazetę i chodzi do sekretarza, pana Kifera, i tam w święta i soboty po kilka godzin czytują, nawet jeden z gabów podobno chodząc kupować króliki do pana Kifera, zastał naszego pana Szachne z odkrytą głową, pijącego herbatę — i od tego czasu Reb Jankel, ów gabe, stronił od Szachnego jak od zapowietrzonego. Nienawiść tę przeniósł on również na syna jego Chaimka, któremu zawsze przepowiadał, że będzie goj gumer i kiełbaśnik (apostata). O ile się ta przepowiednia sprawdzi, przyszłość okaże, tymczasem wracajmy do naszego towarzystwa, do wsi Kuchar.

Trudno opisać krzyk, wrzawę, bijatyki, jakie tam miały miejsce; dość wspomnieć, że każdy wracał do domu oberwany, bez guzików, podrapany, a nasz Chaimek nawet z porządnym guzem na czole. Guzy te poczciwa matka zwykle ostrzem od noża prostowała.

Nasz Chaimek nic sobie z tego wszystkiego nie robił; martwiło go tylko, że Karolinka, córka Mizesa z Gościejewa, który zawsze na święta trąbki przyjeżdżał modlić się w synagodze w Wiślicy, nigdy z nim wdawać się nie chciała, a jak przyjeżdżała ze swoim ojcem, to siedziała cały dzień na folwarku u pana Górskiego, lub u siostrzenic księdza Strondały. Nasz

Chaimek nie mógł pojąć, jakim sposobem Karolinka Mizes, żydówka jak on, mogła robić wizyty u takiego hrabiego jak był Górski, lub u księdza.

Otóż Chaimek postanowił zapytać się Karolinki, jakim sposobem ona to tak robi, — upatrzył chwilę, kiedy Karolinka była samą i wślizgnął się potajemnie do pokoju Mizesa. Karolinka czytała jakąś książkę i nie spostrzegła go zrazu, a zoczywszy go wreszcie, zawołała do siebie i zapytała łaskawie, czego chce, żartując z nim złośliwie. Z początku Chaimek się zmięszał i zwyczajem rebego urwał Karolince kilka guzików, a nareszcie ośmielając się stopniowo, zapytał jej, skąd umie mówić z Górskim lub siostrzenicą księdza.

— Bo u nas — rzekła Karolinka — na wsi jest nauczyciel, który nas uczy

— Dlaczego Reb Lajbele mnie nie uczy — zapytał ciekawie Chaimek?

Chciała coś na to odpowiedzieć, ale prędko wbiegła do pokoju Frajda, matka Chaimka, złapała go za rękę, wzięła ze sobą do spiżarni, dała mu z kilku słoików różnych konfitur, dwa jajka zafarbowane cebulą na kolor czerwonawy i poleciła słudze zaprowadzić go do chederu a potem pójść po niego, po wyjeździe Mizesa z jego przeklętą córką.

Na trakcie wiodącym z Buska do Pińczowa, nieco w bok od wsi Bogusławice, leżą dobra Gościejewice, będące od niepamiętnych czasów dziedziczną własnością rodziny Mizesów. Nikt w okolicy nie pamiętał, kiedy tu ta rodzina osiadła nie wiedziano nic bliższego o niej, dwór bowiem w Gościejewicach, jakoby murem chińskim oddzielał się od całego sąsiedztwa i jakoby zaczarowany zamek zaciekawiał, a nawet imponował niektórym okolicznym wioskom, nie mówiąc już o tem, że żydzi z okolicznych miasteczek, jak to z Pińczowa, Wiślicy, Buska, Działoszyc, byli przepełnieni prawdziwą czcią i uwielbieniem dla Mizesów i całego dworu.

Nie było przechodnia, któregoby dwór w Gościejewicach staropolską nie przyjął gościnnością, nie było biedaka, któregoby szczodra ręka pana Anzelma (tak bowiem nazywał się stary Mizes) hojnie nie wsparła. Jedni przyjezdni przyjmowani byli we dworze, a drugich przyjmował pan Marcin na folwarku. Ktokolwiek tu przyjeżdżał, unosił ze sobą przyjemne wspomnienie doznanej gościnności i takim sposobem nazwisko Mizesów było wszędzie szanowanem. Wyjątek stanowili tylko zatwardziali husyci miejscowi, którzy twierdzili cichaczem (nie śmieli bowiem głośno sarkać), że pan Marcin stary meszymet (apostata) zastępuje w Gościejewicach miejsce rabina rzezaka (choheta), a nawet hazena (kantora) w dni powszednie. Utrzymywali nawet, że cała rodzina Mizesów zbierała się codziennie w przepysznej sali o wysokich kolumnach, naznaczonej na dom Boży, z panem Mar-

cinem na czele — że codziennie rano i wieczorem odprawiali nabożeństwo.

Reb Szymon Krymko z Pińczowa, tak przezwany z powodu ciągłego wykrzywiania twarzy i wysuwania prawego ramienia nad lewe (co dawało mu szlabanową postać), otóż Reb Szymon twierdził i ogromnie tajemniczo w kachałach rozpowiadał, że nocując raz w Gościejewicach, zaproszony był na kolacyę; stół był zastawiony różnemi potrawami, a nawet zdawało mu się, że widział tam wieprzowinę, takie same mięso jak u sekretarza Kiefera i burmistrza. Rozumie się, że Reb Szymon siedział sobie w krymce i nie tknął podawanych mu przysmaków, ale poszedł spać w przekonaniu, że rodzina Mizesów już oddawna z dziada i pradziada ochrzczona, gdyż widział na jednym stole na własne oczy mięso i masło razem, prawie na jednym talerzu. Ale jakież było jego zdziwienie nazajutrz rano, gdy go pan Marcin wprowadził do owej modlitewni! Sam pan Marcin dźwięcznym głosem zaintonował: „Jak piękna chwała Pana", a cała rodzina Mizesów była tam zebraną; byli tam i „pułkowniki" z orderami na czapkach (studenci), „naczelniki" w okrągłych czapkach na bakier założonych jakto noszą huzary (uczniowie politechniki), nawet stał tam jeden jenerał, co to gwiazdę miał przy guziku i brylant większy jak orzech (doktór wojskowy). Otóż wszyscy ci zebrani byli w modlitewni, z pełną skruchą i pokorą słuchali skromnej modlitwy pana Marcina; pan Szymon żadnego kiwania nie widział, nawet nikt na palcach nie skakał, stali wyprostowani

i zgnębieni przed majestatem Wszechstwórcy, zanosząc mu jakąś bolesną skargę. Wszystkie oczy były zwilżone, kiedy niekiedy wydobywało się westchnienie, a pani Mizes i córka jej Karolinka prawie swego łkania nie mogły utamować.

— Dziwna rzecz — opowiadał Reb Szymon — i ja byłem tą sceną wzruszony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Mimowoli ckliwo zrobiło mi się na sercu i zapłakałem jak dziecko. Ale nie potokiem onych pereł, które jak czyste kryształy spoczywają na dnie naszej duszy, lecz pod wpływem wstrząśnienia, jakby iskrą elektryczną wyprowadzone, strumieniem oblewają nasze lica, zrzucając takim sposobem ciężar, który nas przygniatał.

Im wyższą jest inteligencya w człowieku, im wyżej się poziom jego wyobraźni podnosi, tem słabiej manifestują się na zewnątrz jego wrażenia. Gdy różnorodne żywioły fermentują w duszy człowieka, gdy mozaika uczuć i wrażeń drga w jego wyobraźni i przegląda się w niedościgłym ideale, jak przy wschodzącem słońcu, krople rosy na wyłaniającej się w przestrzeni tęczy, które powiew lekkiego zefiru w następstwie z gałązek zwalnia, tak i myśli nasze i uczucia kołyszą się w duszy i wyobraźni, aż skrystalizują się w jednem westchnieniu, w jednej modlitwie u stóp Przedwiecznego. To też od razu ryki Reb Szymona i jego skoki w modlitewni zbudziły rodzinę Mizesów z ogólnego przygnębienia, a jego wykrzywiania i podrygi, tak były dziwacznie, że wszystkich twarze mimowoli się uśmiechnęły, a nawet Ka-

rolinka ku ogólnemu zgorszeniu przytomnych w głos się roześmiała, nie mogąc oprzeć się homerycznemu wrażeniu, jakie dziwaczna rozpacz i dygi Szymona mimowoli sprawiały na obecnych.

Tak opowiadał Reb Szymon, a kiedykolwiek przypomniał sobie tę scenę. sapał zawsze i kłęby dymu z fajki wypuszczał, nos tabaką napełniał, a jednak wybiegających łez wstrzymać nie mógł, ocierając takowe rękawem, albo połą od kapoty. Reb Szymon do dnia dzisiejszego nie może sobie zdać sprawy, czego oni chcieli, i dlaczego on na wspomnienie tej uroczystej chwili bezwiednie płacze. Któż bowiem może zaciekać do tajników wiary, któż może zbadać to silne, święte i miłosierne ogniwo, którem Bóg jakoby niezbadaną okową nas złączył. Biada temu, kto nigdy nie doznaje rozkoszy w miłowaniu nieskończoności, tego szlachetnego talizmanu, stojącego jako kolos na straży powinności cnoty i honoru, prowadzącego nas niekiedy bezwiednie na szeroką drogę życia z poczuciem jego cierni słodyczy i obowiązków.

Wracając do Reb Szymona, był on zatwardziałym husytem, uważającym za występek najmnjejsze zboczenie religijne, ale był przytem człowiekiem prawym, nie należał do owych pasożytów, paryasów, siedzących cały dzień w zakopconem *sztybel* nad rozwiązywaniem kwestyj talmudycznych z czasów Antoniusza i Kleopatry, chociaż sam twierdził, że były to wiadomości historyczne, potrzebne. Przedewszystkiem chciał zarobić na utrzymanie swojej rodziny, siedział więc po całych dniach, ze swojemi pomocnikami

i pracował. Reb Szymon był bowiem z powołania tokarzem, a w wolnych chwilach uprawiał naukę talmudu, którą bardzo lubiał; dzieci postanowił wychować na rzemieślników, utrzymywał bowiem głaskając się pod brodę i wypuszczając gęste kłęby dymu: „niema chleba — niema nauki".

* * *

W Sierpniu 186.... roku w miasteczku Wiślicy był zgiełk niezwykły; obchodzono 25-letnią rocznicę kapłaństwa poczciwego księdza Strondały. Cała szlachta okoliczna, nie wyjmując najwyższej arystokracyi, jakto hrabiowie Dembscy, Tryczowie, a nawet margrabiowie Wielopolscy z Hrabąszcza, Noińscy, Wielogłowscy i wogóle cała szlachta ze Skalbmierskiego i Jędrzejowskiego, Korcina i Chmielnika, aż pod Koszyce i Opatówek spieszyli powinszować czcigodnemu prałatowi tyloletniego kapłaństwa, kapłaństwa, które tak godnie, z takiem namaszczeniem piastował.

Ksiądz Strondała był zacnych zasad człowiekiem, miłującym wszystkich ludzi zarówno, bez różnicy stanu, wiary i narodowości — mawiał bowiem — że Bóg odróżnia tylko ludzi uczciwych od nieuczciwych, cnotliwych od występnych, szlachetnych od podłych, wspaniałomyślnych od mściwych i prawdę od kłamstwa. Twierdził również, że Bóg przyjmuje szczerą modlitwę zarówno w synagodze, jak w kościele, szczerą łzę w lepiance kmiecia jak w pałacach możnych panów i książąt, dlatego też w całej okolicy pano-

wała bratnia zgoda, nie było swarów ani kłótni, a ksiądz Strondała z uśmiechniętą wiecznie twarzą, godłem spokoju jego zacnej duszy, doczekał owoców tyloletniej pracy.

Głównym puuktem zjazdu było przedmieście, wiodące do Kobelnik i Hotelu czerwonego. Całe to przedmieście, nie wyjmując części od mostku Wiślickiego aż do skał Sieleckich, były zapełnione furami, tak, że okoliczna szlachta, dążąca z powinszowaniami, musiała jechać drogą koło zaczarowanego zamczyska i Szczobakowa na plebanię, która mieściła się prawie w końcu wspomnianego przedmieścia. Podróż ta o tyle była nieprzyjemną, o ile kursowały pogłoski i tajemnicze szepty między ludem, że zamek ten miał podziemne korytarze jeszcze za króla Łokietka i Kazimierza Wielkiego, ciągnące się od Wiślicy do nowego miasta Korczyna, a zapadł się w XV wieku za panowania Władysława III Warneńczyka. Mówiono, że słychać tam nieraz rozmaite świsty i gry na różnych instrumentach, jakieś jęki i żałosne płacze. Pastuszkowie opowiadali, że kładąc monetę srebrną, szczególnie piątki, na powierzchni zamczyska, słyszeli przez kilka godzin grę na różnych instrumentach, bachory w chederach opowiadały, tuląc się do komina i zwijając się z przestrachu w kłębek pod brudną ławę *sztiblów*, że pan Zarembski obywatel ze Żurawnik, kilka razy chciał orać na tym gruncie, lecz w nocy czarownice i złe duchy wszystko w niwecz obróciły, pługi i radła o kilka staj na bok odrzuciły, a pole przez noc zarosło jak wprzódy. Starzy znowu

chuchemy (mędrcy) w mieście, a nawet *guloni* (mieszczanie) rozpowiadali o świeczkach chodzących, które w postaci kóz, owiec lub innych zwierząt chowały się pomiędzy wozy podróżnych, prowadząc ich manowcami przez całą noc, a później znikały, naigrawając się z podróżnych.

Jakkolwiek szlachta, jako mniej bojaźliwa, nie przywiązywała wielkiej wagi do tych pogłosek ludowych, jednak zaklęte miejsca owe mimowoli robiły na przejezdndch dziwne wrażenie. Jeden tylko pan Słojewski, człowiek ze wszechmiar waleczny i dobry, uśmiechał się z pod muszystego wąsa, mówiąc staropolskim zwyczajem: „Bóg wiara, sen mara."

Po przybyciu gości, cała procesya udała się do kościoła, położonego na targowisku, na drodze wiodącej do Koniecmostów.

Kościół wiślicki należy do najstarszych zabytków w stylu gotyckim, o wysokich wieżach i bogatej kolumnadzie, z bogato rzeźbionemi portykami i fasadą poważnego dłuta. Armatura z epopei rycerskiej, tryumfów odniesionych na turkach i tatarach, przedstawia się wspaniale. W ogóle kościół wiślicki należy do najozdobniejszych w całej okolicy.

Po nabożeństwie wszyscy się rozjechali, zostali tylko najbliżsi znajomi księdza Strondały na skromną ucztę, która odbyła się wieczorem w płebanii. Przyjechał również na tę uroczystość pan Mizes z córeczką, zajmując swój zwykły pokój w domu Szachnego, a że pani Frajda zajętą była zbieraniem jakiejś sładki

Neduwa, przeto nasz Chaimek, korzystając z jej nieobecności, wślizgnął się bo pokoju Mizesów, gdzie między nim a Karolinką zawiązała się żywa rozmowa.

— Otóż — rzekł Chamek do Karolinki — ja chciałbym się uczyć, jak naprzykład dzieci burmistrza albo Kifera.

— Przyjdź do nas — rzekła naiwnie Karolinka — to będziesz się uczył razem ze mną. Mój tatko taki dobry, to może pozwoli.

— A kiedy ja tak brzydko jestem ubrany i zawwsze się pani wstydzę — rzekł płaczliwie Chaimek.

— Poproszę dzisiaj twego ojca, Chaimku, aby ci sprawił nowe ubranie; on taki dobry, pewno nie odmówi.

Na wspomnienie ojca Chaimek zaczął uważniej się przysłuchiwać. On rzeczywiście nigdy ojcu nie wspominał, że chce się uczyć a ojcu nie śniło się o tem, że jego Chaimek, mający naówczas już lat dwanaście, zaczął myśleć, co z niego będzie, stronił co raz więcej od chederu, nie zachęcały go nawet czułości Sury Liebe. Najwięcej przebywał na podwórku u burmistrza, albo też u kasyera Piotrowskiego, wpływu zaś nikt na niego nie wywierał, oprócz Karolinki, którą uważał za coś wyższego, doskonałego.

Jeszcze tego samego dnia Karolinka wymogła u swego ojca i pana Szachnego, że naszego Chaimka ostrzyżono po europejsku, ubrano przyzwoicie, a pan

Mizes wziął go z sobą do Gościejewic na parę tygodni. Trudno opisać kłótnię, waśnie, rozpacz matki, zdziwienie, sarkania i przekleństwa całego kahału. Pana Szachnego nikt głośno nie śmiał zaczepić, ale wyjazd jego syna do Gościejewic był krokiem ogromnie odważnym, a nasz Josel, ów gabe, co mu przepowiedział, że będzie gojem, biegał cały dzień od domu do domu, sapał i poszturchiwał ludzi na wszystkie strony, mówiąc:

— Wszak mówiłem, że ten chłopak będzie meszymet, a dzisiaj twierdzę, że jeszcze może będzie gorszym od samorodnego Mizesa i jego przeklętej córki.

Tymczasem w życiu naszego Chaimka nadszedł zwrot szczęśliwy. Przeniesiony z atmosfery brudnego chederu i świecących policzków Sury Liebe do czystego, schludnego pokoju w Gościejewicach, razem z dziećmi Mizesa pod czułem okiem pani Mizes i guwernera sprowadzonego z Warszawy, inaczej patrzył na świat, zaczęło się dla niego nowe życie. Chaimek z całym zapałem ciekawego dziecka rzucił się do książki. Nauczywszy się czytać, chciwie chwytał naukę historyi, geografii, geometryi, nauk przyrodzonych, wszystko to chciwie pożerał — i po roku nauki guwerner oświadczył, że Chaimek, którego nazwano Henrykiem Klein, zdać może egzamin do trzeciej klasy. To też nasz Chaimek, którego odtąd i my Henrykiem Klein nazywać będziemy, udał się do Pińczowa i złożył świetnie egzamin. W gimnazyum uczył się dobrze, profesorowie go protegowali, starali

się dla niego o lekcye prywatne, a przechodząc z klassy do klassy ukończył chlubnie gimnazym, dostawszy świadectwo z odznaczeniem za postępy w naukach.

* * *

Przy ulicy Dzikiej w domu Halbera w Warszawie, w małej izdebce, nieco w bok od głównych schodów położonej, mieszkało trzech studentów: Jakób Mrzonkowski, Józef Łapa i Ignacy Wyprzedzalski.

Na drzwiach domu wielkiemi literami była wypisana karta: „Kawalerskie mieszkanie do wynajęcia, bliższa wiadomość u pana Rozenzweiga na 3-em piętrze". A że to właśnie było w miesiącu Sierpniu, kiedy uczniowie wracali z feryj dla rozpoczęcia dalszych nauk, dom Halbera cały dzień był alarmowany. Panów lokatorów nigdy w domu nie było, stróż mieszkał w piwnicy, zaś u pana Rozenzweiga również nikogo zastać nie było można, to też czwarte łóżko wspomnianej izdebki (owo mieszkanie kawalerskie) stało próżne, gdyż zgłaszający się amatorzy musieli odchodzić z niczem jak od niezdobytej twierdzy.

Nie po mału też zdziwiła się Marcelowa (kobieta używana do posług) kiedy nazajutrz po opowiedzianym wypadku, znalazła czwarte łóżko zajęte. Wprawdzie nie było na niem pościeli, gdyż wszystkie deski z powodu braku miary stały w kącie rozebrane, ale za to koło samego pieca nieopodal od drzwi, leżał ogromny siennik a na nim, zamiast poduszek, kołdry i wogóle

pościeli, leżał ogromny szlafrok czerwonawy, dobrze wytarty, który stanowił cały majątek ruchomy nowego lokatora. Poznajemy w nim naszego znajomego z Wiślicy, Henryka Klein. Przyjechał on również, a raczej przyszedł *per pedes apostolorum* do Warszawy, dążąc tu jak wielu innych z celem zdobycia nauki, imienia, a może i stanowiska w przyszłości.

Jasno wytkniętego celu nasz bohater nie miał; wszystkie jego wrażenia od dzieciństwa, świat zewnętrzny, różne obrazki najrozmaitszych i w dziwny sposób skombinowanych uczuć, zdań i pojęć, jakoby w zaczarowanym kalejdoskopie, trzymały jego fantazyę, serce, uczucia, w namiętnym i nienormalnym nastroju. Nie mógł też wysnuć racyonalnego wątku z myśli swoich, co do stanowczego zamiaru na przyszłość, nie umiał też usystematyzować swych czynności, ani ustanowić harmonii w dążeniach swoich.

Drugi z czterech lokatorów, pan Jakób Mrzonkowski, był synem bakałarza z Lublina, skończył świetnie gimnazyum w Chełmie, uczęszczał na wydział prawny warszawskiego uniwersytetu i zajmował się przytem filozofią i poezyą, do której szczególnie miał ogromną słabość; pisywał również rozmaite artykuły do gazet, słowem bawiąc się w publicystę i pedagoga, kształcił i podnosił swego ducha. Myślał ciągle o ideałach, jak wielu młodych ludzi, którzy nie zdoławszy nabrać sami, ani zdrowych praktycznych poglądów na rzeczy, ani dążności specyalnej, nie mogąc znaleść dla siebie samych podpory w życiu ani zająć podmiotowego stanowiska, zamiast starać się chociaż

o maleńkie miejsce w owym kolosie, nazwanym światem i społeczeństwem, zamiast być malutką cegiełką, konkretnym atomem w nieskończonym tym budynku, oni cały ten wszechświat ze Stwórcą razem, mierzą polotem fałszywej, rozognionej i bujnie spaczonej fantazyi, uważają wszystkich ludzi za piony szachowe owej jaźni, z której wysnuwają najsprzeczniejsze i przez samych siebie niezrozumiałe frazesy i epitety, nazywając to poezyą, nauką zdrowej loiki, postępem cywilizacyi i t. d. Do takich ludzi należał pan Jakób Mrzonkowski. Fakultety uniwersytetów, profesorowie, snuli się przed jego wyobraźnią jako małe, nic nie znaczące figury, — wielkości dyplomatyczne, ekonomiczne i naukowe były u niego nic nie znaczącemi i błahemi osobnikami, ale za to w swojem przekonaniu on sam był znakomitością, miał uszczęśliwić ludzkość, dlatego też pisywał poezye, rozwikływał dogmaty religijne i w kilku słowach streszczał systematy filozoficzne. Rozumie się, że niewdzięczne redakcye artykułów jego nie przyjmowały, pisma tygodniowe nie uznawały jego nieśmiertelnych poezyj, a dydaktyczne wywody o filozofii i logice czytywał swoim uczennicom i ich opiekunom, wskutek czego tracił lekcye w najlepszych domach. Przebywszy półtora roku na wydziale prawnym, przeniósł się na wydział filologiczny i uczęszczał przytem do prosektoryum. Chciał jeszcze przejść na wydział medyczny, ale w końcu rzucił uniwersytet, gdzie jego zdaniem niczego nie uczą, i został nauczycielem, czekając czegoś od przyszłości, o czem mawiał tylko półsłówkami, uśmiechając się ironicznie. Był bowiem

pewny katedry uniwersyteckiej i zdawało mu się dziwnem, że go dotychczas jeszcze za powagę naukową nie uznano.

Zupełnie inaczej przedstawiał się pan Józef Łapa, syn rymarza z Koniecpola. Wypędzony z 2-ej klasy gimnazyum lubelskiego za złe postępy w naukach, dostał się do 2-ej klasy I-go gimnazyum w Warszawie, gdzie po 12-tu latach złożył nareszcie egzamin i przepchnął się na wydział prawny uniwersytetu. Pan Józef Łapa był ogromnym pozytywistą — wierzył w swoję nieudolność. Nie przypuszczał, aby po skończeniu uniwersytetu mógł mieć korzystną praktykę kiedykolwiek, nie przypuszczał, aby wogole mógł kiedykolwiek wygrać jakąś sprawę, ale mawiał, że po skończeniu uniwersytetu dobrze się ożeni i będzie miał pieniądze; nie myślał nawet o tem, że i pieniądze należy umieć trzymać. Ale miał cel przed sobą— a czytając pandekta lub prawo rzymskie, widział rozpostartą mamonę, która jakby kleszczami dane paragrafy i ustawy w pamięć mu wlepiała. W pożyciu koleżeńskiem był nieużytym, w rozmowie nieprzyjemnym, w stroju niedbałym, nawet pralniom niewiele dawał zarabiać, kupował bowiem na Senatorskiej ulicy u Arnolda kołnierzyki i mankiety papierowe, ale zato miał zawsze nowe galony przy mundurze i białe jak śnieg naszywki na czapce. Pan Józef Łapa nie czynił tego z braku funduszów, gdyż stołował się u państwa Liebser na Pradze, w charakterze konkurenta do najstarszej córki; za mieszkanie również nie płacił, gdyż dawał lekcye u gospodarza,

a przy tem utrzymywał jeszcze trzech sublokatorów, od których miał jakiś dochód i dawał jeszcze kilka lekcyj prywatnych. Gdy go koledzy prosili o pożyczkę, odpowiadał zwykle: „nie mam ani grosza".

Trzeci z lokatorów domu przy ulicy Dzikiej, Ignacy Wyprzedzalski, był synem pokątnego doradcy z Radomia. Skończywszy gimnazyum w Radomiu wstąpił na wydział medyczny w Warszawie i utrzymywał się z lekcyj. Była to osobistość zwyczajna, jakie często w życiu napotykamy. Odznaczał się chyba ogromną blagą i ciągle opowiadał o awanturkach miłosnych, o swoich zdobyczach salonowych, pokazywał listy miłosne od hrabianek i córek bankierów, które zwykle sam pisywał zmienionym charakterem, dla rozbudzenia u płci pięknej podziwu i uwielbienia dla swej osoby.

Wysuwał się zawsze naprzód, w rozmowie nie dał nikomu przyjść do słowa; chciałeś usiąść — już Wyprzedzalski miejsce zajął, chciałeś angażować damę do tańca — już Wyprzedzalski z nią walcuje. Skłonność wysuwania się naprzód pielęgnował już w gimnazyum w wysokim stopniu: jeżeli nauczyciel o co zapytał, nasz Wyprzedzalski, wiedział czy nie wiedział, zawsze dwa palce do góry podnosił; często oberwał od nauczyciela burę a od kolegów niejednego guza, ale to nic nie pomagało; wyrywał się ciągle, wszędzie go było pełno. Takim pozostał do dnia dzisiejszego, pomimo że już był studentem uniwersytetu.

Bohater nasz, ulokowawszy się we wspomnianej izdebce, zaczął przedewszystkiem myśleć o sposobie utrzymania, następnie zapisał się na wydział prawniczy, do którego okazywał zamiłowanie. Wprawdzie pan Jakób odwodził go od tego zamiaru, dowodząc, że adwokaci rujnują społeczeństwo. Wyprzedzalski zaś i Łapa namawiali go na wydział medyczny, ale on pozostał przy swojem i zapisał się na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego.

* * *

W Gościejewicach od kilku tygodni hył ruch niezwykły. Bawili tam na letniem mieszkaniu u Mizesów: najstarszy zięć ich dr. Geisler z Krakowa ze swą rodziną, spokrewniona rodzina Fajntuchów, Properowie, a z tymi ostatnimi jako przyjaciółka panny Karoliny bawiła od dni kilku panna Sydonia Zielińska, córka powiatowego doktora z Tarnowa.

Całe towarzystwo zbierało się wieczorem w salonie u państwa Mizesów. Przepędzono czas na czytaniu, urządzaniu różnych gier towarzyskich, a przeważnie na muzyce. Karolinka była poważną i zamyśloną; wprawdzie młodsza siostra jej, Jadwinia, starała się ją rozerwać, ona jednak uśmiechała się wprawdzie, ale uśmiech ten miał wyraz smętny, szczebiotanie było wymuszone. Jadwinia, widząc to, dała za wygraną i podeszła ku mieszkaniu pana Marcina, skąd dolatywały ją dźwięki fortepianu z akompaniamentem pięknego głosu mezzo sopran. Śpiewano scenę z „Trubadura” Verdiego, przed klasztorem *„sei*

tu uno ange". Śpiew był piękny i dźwięczny, to też w krótkim czasie przynęcone nim całe towarzystwo zbliżyło się do okien pana Marcina; cisza panowała zupełna, a po skończeniu śpiewu odezwały się huczne oklaski dla mocno zafrasowanej panny Zielińskiej.

Jeden tylko młody człowiek nie klaskał; stał z okiem wlepionem w roznieconą postać śpiewaczki, jakby przykutej do miejsca, a po skończonym śpiewie, widząc przed sobą nieznajomą, uważał za najstosowniejsze przedstawić się i przeprosić, że mimowoli był niedyskretnym świadkiem tego uroczego śpiewu, który wszystkich tak zachwycił. Całe towarzystwo weszło powoli do mieszkania Marcina, a córka jego, panna Ludwika, przedstawiła wszystkim adwokata przysięgłego, pana Henryka Klein, osiadłego od kilku miesięcy w gubernialnem mieście Kielcach.

Przybycie pana Henryka do Gościejewic w niczem nie mieszało przyjętego porządku; widocznem było, że był tutaj częstym gościem, traktowany przez całą rodzinę nadzwyczaj uprzejmie. Wkrótce rozgościł się w pawilonie dla siebie przeznaczonym, a wieczorem jeszcze tego samego dnia galopował na swoim ulubionym Kastorze, w towarzystwie panny Karoliny. W czasie przejażdżki oboje młodzi rozmawiali wesoło, a znając się od dzieciństwa i mając różne wspólne wspomnienia, pamiątki doznanych wrażeń, znajdowali do rozmowy temat niewyczerpany. Nic dziwnego, że między nimi zawiązała się ścisła przyjaźń, tolerowana przez pana Anzelma i jego małżonkę, jak również całą rodzinę Mizesów, gdyż Henryk umiał sobie za-

skarbić serca wszystkich, tak w gimnazyum, jako też i w uniwersytecie, a obecnie klientów, których umiał zjednywać sobie miłem i przyjacielskiem obejściem.

Zostawiliśmy pana Kleina w izdebce przy ulicy Dzikiej. Postarał się on prędko o dobre lekcye; wyprowadził się od trzech szałaputów, którzy mu co chwila głowę nabijali czem innem, a skończywszy uniwersytet, rozpoczął praktykę u mecenasa Cholewińskiego w Kielcach, gdzie też następnie własną kancelaryę otworzył. Wszyscy mu powierzali sprawy, nawet gabowie z Wiślicy i sam Reb Szymon Krymkopf, a że złych spraw nie przyjmował (miał bowiem zdrowe pojęcie o logice i sprawiedliwości), w krótkim czasie zjednał sobie sławę w całej okolicy. Do Mizesów jeździł prawie co tydzień, wstępował po drodze do Buska, dokąd się jego rodzice przenieśli a stamtąd zwykle wybierał się do Gościejewic, gdzie święta zwykł był przepędzać.

Karolina Mizes, dziewoja o wspaniałym wzroście, zgrabnej kibici, wysmukłej szyi i matowej cery twarzy, całą swą postacią przedstawiała istotę pełną prostoty, dobroci i rezygnacyi. Zupelnym kontrastem do niej była Sydonia Zielińska, panna najwyżej 17-to letnia, średniego wzrostu, prawie niskiego, cery brunatnej, o czarnem oku, otoczonem długiemi rzęsami. o hebanowych kruczych włosach, gęstemi kędziorami spadających w nieładzie na jej śnieżne ramiona, o ustach koralowych, otoczonych cudnemi rzędami białych pereł; nos miała mały nieco zadarty, znamionujący energię, a wszystkie rysy twarzy tak sympa-

tycznie pociągające cudnym i tajemniczym urokiem, że samo ukazanie się jej rozpromieniało wszystkich.

Zaiste, dziwną i pełną uroczych tajemnic jest dusza ludzka. To, co przez pewien czas wydawało się człowiekowi wymarzonym ideałem, odrazu ginie w pomroku zapomnienia, po którem lekki wietrzyk nieraz ślady niweczy.

Nasz bohater od dzieciństwa przywykł uważać Karolinkę za coś wyższego. Ze stopniowem postępem w naukach i rozwojem inteligencyi, serce jego i umysł uszlachetniały się i z każdym dniem przywykł wyżej cenić pannę Mizes, uważając ją za istotę doskonałą i godną uwielbienia. Czuł dla niej prawdziwe przywiązanie człowieka, pojmującego całą doniosłość wdzięczności, jaką jej był winien, — zdawało mu się, że bez tej istoty, bez tego anioła, który stał się w jego życiu bezwiednym przewodnikiem, straciłby inicyatywę i cały świat byłby dla niego pustynią bez celu. O przyszłości nikt nie wspominał. Cała rodzina Mizesów, a nawet Kleinów. wogóle sąsiedztwo i całe otoczenie uważało ich za połączonych i nie śmiałby nikt przypuścić, żeby kiedyś inaczej być mogło. Oni sami również o przyszłości między sobą nigdy nie mówili, ale szli spokojnie ręka w rękę, z ufnością w Bogu i poczuciem serdecznej i na wzajemnem szacunku opartej przyjaźni.

Od Kilku dni panna Karolina spostrzegła, że pan Henryk stał się ponurym i posępnym, a nawet trochę roztargnionym. Nie uszło również jej baczności, że

przy pożegnaniu z panną Sydonią, oko jego zwykle tak spokojne, zimne, jakoby ogniem zabłysło i chociaż tylko na jedną chwilę, chociaż był to niby przypadkowy błysk ukrytego brylantu, ale promień był tak silny i tak energicznie stłumiony, że nie uszło to baczności Karolinki, która w osłupieniu patrzyła za odjeżdżającym, nie mogąc myśli zebrać, ani zdać sobie sprawy z tego wszystkiego. Wesoły i srebrzysty śmiech panny Zielińskiej przypomniał jej atoli, że nie wypada odłączać się od towarzystwa, do którego też machinalnie wróciła.



* * *

W mieście Kielcach, od samego rana na wszystkich rogach ulic przybite czerwone afisze, zapowiadały o mającym się odbyć odczycie z dziedziny fizyologii porównawczej, przez znanego literata pana Jakóba Mrzonkowskiego.

Po odczycie, który przeznaczony był na korzyść niezamożnych uczniów gimnazyum, miał się odbyć wieczorek tańcujący, na który komitet, z inteligencyi miejscowej na prędce złożony, zaprosił kwiat młodzieży kieleckiej i okolicy. Do komitetu i ułożenia programu zabawy należał również i pan Klein, jednomyślnie wybrany gospodarzem balu. Biletów i programów dostać było można w księgarni Golthaara lub też w polskim hotelu u pana Mrzonkowskiego.

Zabawy są rzadkiem na partykularzu zjawiskiem, a rzadziej się jeszcze udają. Tu przeciwnie, spoty-

kamy najlepsze rodziny, jak również naszych znajomych z Gościejewic, pannę Mizes, Geislerównę, pannę Zielińską, oraz liczne grono studentów, bawiących wówczas na wakacyach w domu. Wszyscy byli wesoło usposobieni, w oczekiwaniu przyjemnej zabawy — z wyjątkiem samego prelegenta pana Mrzonkowskiego. Chodził on od samego rana z rozczochraną grzywą, wielkiemi krokami po pokoju, mrucząc, sapiąc, wywijając rękoma w powietrzu, słowem, pan Mrzonkowski chodził jak opętany.

— Żebym chociaż — rzekł głośniej sam do siebie, uderzając się pięścią w czoło — żebym chociaż był wybrał inny tytuł, ale: fizyologia porównawcza!... Nie! nie to niepodobna! Już sama fizyologia jest absurdem — a jeszcze „porównawcza" do tego... Nie pojmuję, co mnie jako poetę, jako literata i wogóle jako człowieka obchodzić może fizyologia — i to porównawcza. Ale głupstwo! trzeba przecież coś powiedzieć... Mam tu wprawdzie ze sobą traktat o antropologii, profesora Meyera, ale... Jakież „ale"? Antropologia, fizyologia — jeden dyabeł! Trzeba im przeczytać słowo w słowo to studyum, a publika będzie zachwyconą. Wreszcie nie będzie to znowu tak bardzo plagiatem... Wprawdzie napisał to, a raczej dyktował profesor Meyer, ale te same idee i mnie nieraz przychodziły do głowy, a chociażby i nie przychodziły — dla publiczności powinno być obojętnem, czy to napisał Meyer, czy Mrzonkowski.

Wyprostował się jak długi, poprawił krawat, najeżył jeszcze raz czuprynę i zaczął w sposób następu-

jący: „Szanowni słuchacze! jeszcze nigdy nie byłem przejęty takiem drżeniem, jeszcze serce moje nigdy nie doznawało tak rozkosznego wrażenia, jak w chwili obecnej. Zaszczycony łaskawemi wzglęgami szanownych słuchaczy, stoję przed szlachetnie zebraną publicznością dla wyjaśnienia kwestyi, będącej od wieków argumentem przeróżnych rozpraw i wprawiających świat cały w labirynt myśli i studyów".

— Tutaj — przerwał sobie pan Mrzonkowski — zacznę w dalszym ciągu temat rozwijać.

O ile mu się to udało, wkrótce się przekonamy.

Po skończonej tualecie, udał się pan Mrzonkowski z wizytą do pana Kleina, którego na szczęście nie zastał w domu, był on bowiem cały dzień zajęty w sądzie okręgowym. Wrócił więc nasz prelegent do hotelu, gdzie wprawiał się w czytanie kilku lekcyj antropologii profesora Meyera, poprawiając wciąż czuprynę. Pogodził się wreszcie z samym sobą, czekając spokojnie na wieńce i laury, które swym płodnym odczytem zdobyć zamierzał.

* *
*

Nadszedł nareszcie pożądany wieczór.

Sala uroczyście była przystrojona, kandelabry pozapalane, publiczność licznie zebrana oczekiwała z niecierpliwością rozpoczęcia zapowiedzianego odczytu.

Pan Jakób Mrzonkowski dla większego efektu wszedł na estradę kilka minut później, z rozpromie-

nionem obliczem, pewną postawą. A chociaż odczyt jego był przeplatany niektóremi epitetami, specyalnie dla osobistości słuchaczy przeznaczonemi, tem niemniej całość wypadła na korzyść prelegenta i obsypany został w końcu grzmotem hucznych oklasków... Nie potrzebujemy dodawać, iż przekonany był, że w zupełności na takowe zasłużył.

Wkrótce potem publiczność się rozeszła, a pozostali tylko goście zaproszeni na wieczorek i niebawem odezwały się poważne dźwięki orkiestry, zapraszające do poloneza, którym zwykły się u nas zabawy rozpoczynać.

Pan Klein cały prawie wieczór towarzyszył *ex officio* pannie Mizes, z tą lekką swobodą i rzetelną galanteryą, cechującą ludzi dobrze wychowanych. Nie było w nim widać najmniejszej przesady, ani nadskakiwania; obejście jego, pełne prostoty, cechowało człowieka poważnego, pojmującego godność swą i obowiązki. Umiał on odpowiednio znaleść się w każdem kółku towarzyszkiem; to też ogólną zjednał sobie sympatyę i poważanie.

I dziś nasz bohater przewybornie się bawił. Wprawdzie kilka razy, gdy go panna Zielińska do mazura wybrała, nie mógł sobie zdać sprawy ze swych wrażeń, czując jej białą rączkę w swojej dłoni, — zdawał się być pod wpływem wonnej a wypieszczonej i złotemi snami opromienionej czarodziejki, jakby przykuty niezwalczoną siłą do tej istoty, którą widział drugi raz w życiu. Ona spojrzała na niego,

umyślnie czy przypadkowo?... Któż odgadnie ten labirynt serca kobiety, dość że to, co w jej oku widział, zdawało mu się znajomem, wiecznem, nieskończonem, głębokie jak myśl, niezbadane jak twórczość — i znowu na chwilę zabłysnął ogień w jego wzroku, znowu tajemnicze jakieś tętno zadzwoniło w jego duszy, ale było to tylko jedno mgnienie, jedna błyskawica...

Wprawdzie pan Henryk nie zważał dotychczas na pojedyńcze indywidua, kształcąc się w szkole życia, pokochał świat i ludzi — nie rozumiał innej pracy jak pracę dla wszystkich ludzi; pojmował własny obowiązek surowo i nigdyby nie dopuścił się przekroczenia na korzyść swego ja. To też wobec obowiązków, jakie miał dla Mizesów, odkryte w sercu swem nowe uczucie zdawało mu się świętokradztwem, którego miłość, z całym zasobem swego słownika, nie mogła uniewinnić. Z całą też zwykłą mu energią starał się odzyskać spokój, ale w każdym razie wieczór ten otworzył jakoby przepaść między nim a Karolinką, a serce jego mimowoli wypełniło się przeczuciem nowego ideału.

* *
*

Zostawiliśmy pana Jakóba, zbierającego obfite laury po sławnym odczycie z fizyologii porównawczej. Pan Jakób również był małym bohaterem *in partibus*. Wytworzyła się naokoło niego mimowoli aureola — składająca się z kółka starych panien, dewotek i nie-

których półgłówków, stanowiących główne ogniwa kółka literackiego w Kielcach.

Był tam i radca Dybalski, który nowości znosił, i pani radczyni Sroczyńska, która obgadywała wszystkich i wiecznie zbierała składki na jakieś cele dobroczynne, była i pani sędzina Przepiórkowska z trzema córkami, z których najmłodsza liczyła już 28 wiosnę, było wreszcie kilka rodzin poważniejszych, jak Zabiełowie, Płatkiewicze i Krzykała.

Pan Płatkiewicz był podobno kiedyś przedsiębiercą, nawpół budowniczym w Stopnicy, a że, jak twierdzą złośliwi, zbudował dom dwupiętrowy bez schodów, wskutek czego do pierwszego piętra można było dostąpić za pomocą drabiny, lecz wyżej niepodobna, więc też nie powierzano nadal panu Płatkiewiczowi prac technicznych. Nie przeszkadzało mu to jednak kupić sobie domu w Kielcach i tytułować się panem radcą. Pan Płatkiewicz miał spory mająteczek i dwie córki na wydaniu, z których jedna wychowaną była na wsi w Słabkowicach pod Chmielnikiem, a druga Eulalia na pensyi w Kielcach.

Panna Eulalia miała naówczas lat 17; przeczytała już wszystkie romanse Pawła de Kocka, Fewala, Suego i Dumasa. Obdarzona romantyczną fantazyą, panna Eulalia postanowiła być bohaterką, istotą niezwykłą, marzyła o księciu Dżalmie, wyciągającym do niej ręce i żebrzącym jej spojrzenia. Nic dziwnego, że pan Mrzonkowski przypadł jej do gustu. Znalazła w nim tak świetny grunt dla swoich płodnych ma-

rzeń — i pan Jakób w krótkim czasie również był w siodmem niebie, a matka Eulalci, z domu Sobówna, uśmiechała się wpół seryo, gładziła dwuznacznie koniec swego spiczastego nosa i nie mogła dość nacieszyć się wrażeniem, jakie jej Eulalcia zrobiła na znakomitym profesorze i prelegencie, panu Mrzonkowskim. Ten ostatni również był rozpromieniony — i odprowadziwszy do powozu pannę Eulalię, został sam na ulicy, oszołomiony tem wszystkiem, co się wkoło niego działo.

Szedł machinalnie w stronę hotelu i nagle uczuł ogromną czczość we własnem sercu. Wyglądał jak człowiek spadły z obłoków — w zwyczajne prozaiczne stosunki życia.

Największem złem było to, że pan Mrzonkowski był goły jak bizun. Właściciel hotelu często już przez kelnera rachunek mu przedstawiał, na który pan Mrzonkowski zwykł był odpowiadać: „później". A że przed samym odczytem pan Michalski, gospodarz hotelu, kategorycznie i stanowczo domagał się albo pieniędzy, albo opróżnienia lokalu, to też pan Mrzonkowski uważał za najstosowniejsze nie wracać więcej do tego niewdzięcznego hotelu, w którym go tylokrotnie nudzono tak prozaicznemi kwestyami, jak zapłata za lokal, mącąc tem samem najidealniejsze poloty jego wzniosłych idei.

Ale gdzie tu iść i co ze sobą zrobić? — mimowoli zaświtało w jego poetycznej głowie. Nie mógł przecież myśleć o tem wcześniej, kiedy budował społe-

czeństwo wykładem antropologii, kiedy ze swą anielską Eulalcią pod niebiosa się wznosił. W owej chwili zapomniał o świecie — zostawił materyalizm za sobą i jakoby w rzece Lethe we własnej próżności go utopił. Ale gdy został sam na ulicy, gdy wiatr świsnął mu nad uchem, ów niewdzięczny Boreasz, którego w myśli razem z Homerem uwielbiał — gdy wezbrane chmury lunęły strumieniami wody, podmywając nielitościwie jego cienkie i niezbyt masywne obuwie, stanął wobec takich faktów jak żak, nie umiejący lekcyi, a podobny do owego Krezusa, wspominając na słowa swego kolegi Józefa Łapy, westchnął dwukrotnie: „o! Józefie! Józefie!"

* *
*

W Kielcach, przy ulicy Małej, w narożnym domu parterowym, mieściła się restauracya, szumnie zatytułowana „Pod Lwem". Właściciel tej restauracyi pan Cypryan Grzybek, sprowadził przed dwoma laty damską orkiestrę, a gdy mu się to opłaciło, postarał się o kilka śpiewaczek niemieckich i pomału jego zakład gastronomiczny przybrał formę teatrzyku, któremu nadał nazwisko „Eldorado". Ściany pokryto obiciem jaskrawej barwy, przystrojono kilkoma obrazami treści mitologicznej, z rozmaitych epizodów życia Bachusa, Junony i innych Olimpijczyków, dla uzmysłowienia celu przybytku sztuki. Z boku urządzone było zagłębienie w kształcie sceny, z przyległym buduarem dla garderoby występujących śpiewaczek.

Restauracya „Pod Lwem”, obecnie „Eldorado”, rzęsiście oświetlona, zawsze przepełniona była gośćmi; dźwięki fortepianu rozlegały się tu do późna w nocy. Bufet był starannie zaopatrzony, pan Grzybek nadzwyczaj usłużnym i wiecznie uśmiechniętym gospodarzem. Publika kielecka była mu wdzięczną za urządzenie lokaliku, w którym jako tako można było zabijać nudne wieczory zimowe. Za wejście nie płaciło się nic, ale po każdych trzech numerach obchodziła coraz to inna śpiewaczka z talerzem, zbierając dziesiątki i złotówki — a z przybywających tutaj gości wszyscy przecięciowo wracali do domu rozochoceni, rozbawieni — ale goli. Pod wpływem muzyki i zmysłowych marzeń, czuli się szczęśliwi — dopiero, wyszedłszy z przybytku tej „muzy” — niejeden ochłodzony świeżem powietrzem, zaczynał pojmować całą czczość przemarnowanych kilku godzin i poczuł znaczny deficyt w kieszeni.

Ale za to dyrektorowa trupy, pani Agnes Nelli, zacierała ręce z radości; obliczając codziennie obfity zbiór, śmiała się w duszy z łatwowiernych chlebodawców. Pani Agnes Nelli pochodziła z małego miasteczka w Turyngii, gdzie ojciec jej był pastuchem. Od dzieciństwa nabrawszy popędliwości do biegania, przyłączyła się później do bandy cyganów, z którymi razem wędrowała po Węgrzech i Morawii. Następnie dostawszy się do Wiednia, przez parę lat prowadziła tam rozwiązłe życie, występowała jakiś czas w osławionym „Cafe Laferl”, nareszcie, dobrawszy sobie jeszcze kilka podobnych rozpustnic do towarzystwa,

zaczęła podróżować po miasteczkach Szlązka, Galicyi. W Krakowie spotkała się z panem Grzybkiem, który zakontraktował towarzystwo jej do Kielc.

Agnes Nelli miała lat 38, co jej nie przeszkadzało ubierać się w krótką sukienkę i trykoty i zmysłowemi śpiewami w towarzystwie odpowiednich ewolucyj zachwycać publiczność i huczne zawsze zbierać oklaski. Dość było spojrzeć na jej twarz, aby wyczytać z jej rysów całą historyę jej życia i przeszłości. To spojrzenie konwulsyjne i niespokojne, ta wyczekująca, wyzywająca i straszna megeryczna rozwiązłość, ta rozpusta, wyzuta z wszelkiej czci i formy, ten śmiech suchy, zmięszany z kaszlem i chrypką, uśmiech podobny raczej do skrzywienia konającego, ta lodowata i obrachowana czułość, ta ciągła praca nad zdruzgotaniem w człowieku poczucia jego godności i każdego szlachetnego popędu a odurzenia go w jakiemś zmysłowem i strasznem odrętwieniu, — wszystko to odbijało się wyraźnie w tej twarzy. Była to istota podobna do dzwonu, który wydając echa na wszystkie strony, przeciągłe, to czułe, smętne, to znów wesołe i dźwięczne — sam pozostaje głuchym i niewzruszonym spiżem. Nelli, upojona i odurzona gorącemi trunkami, płakała czasem rzewnemi łzami, ale były to łzy bezwiedne, jakieś wybryki zdenerwowanej czułostkowości, niezależnej od niej samej. Jednocześnie umysł jej kombinował, jakie korzyści z tych łez wyciągnąć.

Oddawszy wszystko na pastwę ludziom, te nieszczęśliwe istoty nawet tej małej pociechy nie mają,

aby mogły zapłakać szczerze nad sobą... Płakać, znaczy myśleć o sobie — istoty te boją się własnego poczucia, samych siebie.

* *
*

„Pókim dobry, słodkie drzewko!... Na Jowisza przysięgam! Jak babcię kocham!” Te i tym podobne wykrzykniki zwróciły uwagę pana Jakóba Mrzonkowskiego, który w swej wycieczce nocnej, jakby instynktem wiedziony, dotarł do restauracyi Pod Lwem, obecnego „Eldorado”.

Wszak to Józiek Helin, przysięgam na Boga, to jego głos, niema wątpliwości! Tak to on. Zapomniawszy o wszystkiem, zatarł nasz poeta ręce z radości, jak Archimedes po wynalezieniu sposobu do rozwiązania zagadnienia geometrycznego, zwanego *centu Bowes* i krzyknął owe sławne „eureka”. Wszedł rozpromieniony do osławionego „Eldorado”, a radość była wielka, gdyż pan Helin był szkolnym kolegą i przyjacielem pana Jakóba. Ukończywszy gimnazyum, poświęcił się zawodowi kupieckiemu. Jako komiwojażer znanej firmy „Fridlaender i S-ka”, objeżdżał gubernialne miasta i prowincye. Zostawmy pana Jakóba z jego filozoficznemi spostrzeżeniami nad znikomością rzeczy ludzkich, opuśćmy nawet mówkę, jaką wypowiedział, zagrzawszy się mocnemi trunkami i napełniwszy żołądek — o stosunku platonizmu i obyczajowości i o nędznem położeniu i tendencyi naszego wieku. Pozostawmy wreszcie pana Jakóba w hotelu

Krakowskim, do którego następnie przeniósł się z panem Helinem, a wracajmy do naszego opowiadania.

Kto w życiu nie kochał, komu świat nie uśmiechnął się tym szczerym dźwiękiem lutni, czyje serce nie było kołysane owym słodkim, tajemniczym szeptem urojonego przez duszę, w purpurowe szaty odzianego ideału, kto nie czuł się w wonnej atmosferze magnetycznego prądu, na lekkich skrzydłach złotej fantazyi niesionym w tajemnicze przestworza, — kto nie znajdował się w tem słodkiem a niemem odurzeniu, jakoby cały świat z wszystkiemi rozkoszami był tylko małą kropelką niezgłębionego morza jego własnego upojenia — kto nie czuł owego nieskażonego słodkiego uczucia, nie dającego się niczem ująć, niczem uchwycić, owej iskierki, topiącej się w wiecznej melodyi, niedościgłej ni myślą, ni akordem — ten nigdy pojąć nie zdoła uroczego wpływu, prawdziwei miłości. Zdaje się wówczas, że cały wszechświat wyzuł się ze wszystkich cudów swoich, aby sumą tych wdzięków jakoby aureolą ideał nasz otoczyć. Doznajemy tak błogiej rozkoszy, iż chcielibyśmy w odwet za wszystko cały świat uważać za jedno skupione dobro i takowe do serca przycisnąć. Nic dziwnego że zakochani nie widzą nic oprócz samych siebie. Miłość nie rozbiera ani pozycyi towarzyskiej, ani stosunków familijnych — jest ona bezwzględną jak konieczność, piękną jak świat i jasną jak obowiązek.

I panna Sydonia kochała. Kochała całą siłą młodocianego serca, całą potęgą swego nieugiętego ha-

rakteru; pokochała od pierwszej chwili Henryka, szła za popędem serca, nie starając się bynajmniej pohamować swego uczucia. Tak jej było błogo w tem uroczem zaklęciu, że z początku twarzyczka jej, zwykle tak figlarna, spoważniała, oczy nabrały wyrazu jakiegoś nieokreślonego i smętnego, a na tle jej serduszka mimowoli i stopniowo zarysowywała się postać Henryka, która, zdawała się, nagle i niespodzianie z jej duszą się zrosła. Panna Sydonia nie żyła fantazyą, ani mrzonkami, ideałów nie tworzyła, — nie była to jedna z tych lalek woskowych, wychuchanych na romansach francuzkich, lub bohaterek emancypowanych, ale jedna z wybranek losu, obdarzonych duszą i sercem, rozumem i wolą, zdolną do poświęceń, konsekwentna i stanowcza w najwyższym stopniu. Już w dzieciństwie mała Sydzia dawała wszystkim poznać przyszły swój charakter. Jeżeli jej się sprzeciwiano, tupała niecierpliwie małą i zgrabną nóżką i tak długo nalegała, aż wreszcie postawiła na swojem. W dzieciństwie był to zwykły upór, który z biegiem lat zamienił się na nieugiętą wolę. Rodzice panny Sydonii, mając córkę jedynaczkę, nadzwyczaj ją pieścili.

Pan Józef Zieliński był synem obywatela z Przemyśla. Praktykując po skończeniu uniwersytetu kilka lat w rodzinnem swem mieście jako lekarz, otrzymał posadę powiatowego lekarza w Tarnowie, dokąd następnie przeniósł się ze swoją rodziną. Panna Sydonia została u swojej babki we Lwowie, gdzie skończyła konserwatoryum i mając już lat 17, wróciła do

stęsknionych rodziców, którzy i tak prawie co tydzień odwiedzali ją we Lwowie. Z przybyciem panny Sydonii do rodziców, dom doktorstwa znacznie się ożywił. Urządzano wieczorki i zabawy, których duszą była panna Sydonia. Jej humor, srebrzysty i wesoły śmiech, pewne i niewymuszone obejście, tak pięknie harmonizowały z sobą, że pociągały serca wszystkich.

Będąc przez kilka lat w konserwatoryum razem z panną Zdzisławą Mizes, siostrą Karolinki, obie pokochały się prawdziwie i prawie co miesiąc odwiedzały się wzajemnie. Przyczyniło się do tego także i pewne pokrewieństwo, gdyż pan Mizes, brat pana Anzelma z Jaworzna, ożenił się z rodzoną siostrą pana Zielińskiego.

Pan Zieliński był człowiekiem bardzo zacnego harakteru, kochał nad życie swoja córkę i głównym jego dążeniem było wydać ją za mąż za swego synowca, Stanisława Przedeckiego, który skończył był uniwersytet w Wiedniu i osiedlił się na swojem gospodarstwie we wsi Kutnówce, niedaleko Jarosławia. Pan Przedecki od dzieciństwa kochał swą małą kuzynkę, którą zwykle nazywał małą Sydzią, potem odwiedzał ją bardzo często we Lwowie, u ciotki swojej pani Adeli Przemyskiej. Usposobienia młodych zgadzały się, to też poczciwy doktór cieszył się w duszy, że wybór jego trafił do serca i do gustu obojga dzieci.

Przyjazd pana Przedeckiego do Tarnowa zawsze był pożądany. Stanisława mile widziano w domu,

był bowiem bardzo wesołego usposobienia, trochę uszczypliwy, a wreszcie miał bardzo dobre serce i gładkie obejście. Nie był on pięknym mężczyzną: wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej, o cerze brunatnej i czole stosunkowo małem do całej twarzy, pan Stanisław na pierwszy rzut oka bardzo niepozorne robił wrażenie. Panna Sydonia wogóle zdawała się wcale nie zwracać uwagi na niego, śmiała się z nim razem, lubiła z nim walcować, gdyż tańczył bardzo dobrze, często się z nim drażniła — zresztą Stanisław nic stanowczego od niej dowiedzieć się nie mógł.

Stanisław zastał swą kuzynkę dziś samą w salonie. Zajęta robótką, zdawała się sama z sobą rozmawiać:

— Tak, dziś jest dzień dla mnie radosny... On przyjedzie, zobaczę go po kilku miesiącach niewidzenia... Wszak na jego zapytanie przy pożegnaniu, czy my się jeszcze zobaczymy, mimowoli wysunęły mi się wyrazy... I oznaczyłam dzień moich imienin.

Zarumieniła się przy tych słowach, lekko przygryzła wargi, tupnęła nóżką, rzuciła rozpoczętą robótkę i jednym tchem była przy fortepianie. Grała sama nie wiedząc co. Myśli jej i uczucia falowały w przestworzu bez granic, akordy niezrozumiałe i burzliwe przechodziły w smętne i niewyraźnie ożywione gubiły się w słodkiem i spokojnem pianissimo. Sama nie czuła, jak dwie łzy, niby dwa błyszczące brylanty, stoczyły się na rozkosznie uśmiechniętą i ożywioną jej twarzyczkę.

Stanisław stał przez chwilę jakby w osłupieniu; obdarzony pewną bystrością, zrozumiał, że musiało zajść coś niepospolitego w życiu tej dziewczyny. Przypominał sobie, zestawiając wypadki, że od czasu jej ostatniego pobytu w Gościejewicach widział ją nieraz roztargnioną, niecierpliwą, dąsającą się, a nawet że to nie pierwszy raz widział twarz jej, noszącą ślady łez. Jako człowiek dobrze wychowany i pełen taktu, zwinnie wymknął się z mieszkania, ale postanowił zbadać głębiej to serduszko, a jeżeliby ono było zajęte, biło dla kogo innego, wyrwać ideał ten z jej serca i ustosunkować odpowiednio dalsze postępowanie ze swą małą i miłą, jak ją nazywał, kuzyneczką.

Mimo swego niepozornego wyglądu, Stanisław był dyplomatą, utrzymywał, że serce każdej kobiety zdobyć można jak niezdobytą Troję figlem, dyplomacyą; trzeba tylko czasu, cierpliwości i pewnej znajomości serca kobiety, aby z tej lutni, jak Orfeusz ze swej liry, najdźwięczniejsze tony wydobyć. Wiedział on wprawdzie, że z jego kuzyneczką nie tak łatwa sprawa, nie tracił jednak nadziei. Gdy o tem rozmyślał, twarz jego całą przebiegłością i siłą inteligencyi ożywiona, była prawie piękną i pewnym urokiem i wdziękiem do siebie pociągała.

Długoby trwało dumanie, w którem pogrążoną była nasza bohaterka, ale turkot nadjeżdżającego powozu i trzaskanie z bicza zbudziły ją nagle. Poskoczyła do okna, a widząc nadjeżdżających gości, wbiegła do pokoju swego, aby tualetę trochę poprawić

i godnie wystąpić w roli solenizantki. Chciała przedewszystkiem zapanować nad sobą i odzyskać dobry humor, którym zawsze czarowała otoczenie, ale szło to nadzwyczaj trudno. Za każdym odgłosem dzwonka serce jej biło gwałtownie i rozczarowanie malowało się na jej twarzy, przy witaniu swych najlepszych przyjaciółek i znajomych.

— Cóż, kuzyneczko — zapytał z przekąsem pan Stanisław — jakoś naszego mecenasa nie widać... A tak wystawiałaś jego punktualność i cnoty — dodał prawie ironicznie.

— Nie bądź tak uszczypliwym, panie Stanisławie... Opowiadałam ci tylko wypadkową z panem Henrykiem znajomość... A gdyby nie przyjechał, byłby to tylko dowód, że się niewiele interesuje twoją małą kuzyneczką — rzekła z przekąsem — tembardziej, że moje zaproszenie mogło być niedostatecznem, a jakkolwiek moi rodzice poznali się z nim u ciotki Mizesowej z Jaworzna, być jednak może, iż go nie zaprosili. Właśnie mama nadchodzi; niech się kuzynek zapyta — rzekła z przymileniem.

— Bardzo pięknie — rzekła doktorowa, zbliżając się — zamiast bawić gości, usiedliście sobie na stronie i gruchacie Bóg wie o czem. Oj ty bałamucie — rzekła do Stanisława, uderzając go wachlarzem po ramieniu.

— Ciociunia także nie łaskawa — odpowiedział Stanisław, korzystając ze szczęśliwego obrotu mowy — miała nam ciocia dziś przedstawić pana Kleina, tym-

czasem jakoś go nie widać. A może ciocia dobrodziejka wcale go nie prosiła?

— Ale przestań; powiadam, że przyjedzie; wszak dopiero przed dwoma tygodniami odprowadził nas do bratowej z Jaworzna, aż pod sam Rataj i gdyby nie ważne sprawy, już byłby przyjechał. A jakże! wszak i o tobie Sydziu wspominał... Nazwał cię u wujowstwa wirtuozką, czarodziejką.

— Dziękuję serdecznie, dziękuję cioci za objaśnienie — przerwał strategicznie pan Stanisław, który nie mógł znieść tych pochwał i oczu swej kuzynki, które z tryumfem na niego spoglądały.

W tej samej chwili wszedł do sali pan Zieliński, prowadząc pod rękę kochanego gościa.

Był nim pan Henryk Klein. Wszyscy byli bardzo ciekawi poznać naszego mecenasa, tem bardziej, że jego historya i przeszłość doskonale były znane całej okolicy.

Oczęta naszej Sydzi radością zajaśniały... Podając swą małą rączkę na przywitanie Henrykowi, była cała drżąca i wzruszenia swego pohamować nie mogła.

A on? Trudno opisać, co się działo w jego duszy — trudno go było poznać... Twarz jego zbladła, oczy nabrały jakiegoś błędnego i nieokreślonego wyrazu, widocznie zaszła w nim jakaś zmiana. On cierpiał i walczył; wyczytała to Sydonia w pierwszem spojrzeniu, w pierwszym dźwięku jego głosu, prze-

czuwała instynktem kobiety jakąś burzę... Mimowoli dreszczem przejęta, miała rękę zimną jak lód.

Dwie te istoty tak mało się znały, a tak równomiernie czuły... Tak dalecy byli od siebie, a ich tętna i dusze splatały się tak harmonijnie i dźwięcznie! Tak krótko się znali, a tak potężny wulkan zbudził się w ich piersiach, że rozumieli się samą siłą tchnienia, pojmowali błyskiem wzroku, zjednoczyli upojeniem duszy i harmonią wzajemnego oczarowania.

A jednak Sydonia przeczuwała instynktem przepaść bez granic, labirynt bez wyjścia i drogę bez celu.

* * *

Są chwile w życiu człowieka, w których charakter jego i niezłomne postanowienia, pod wpływem imaginacyi i niezatartych wrażeń, leżących w psychicznem ustroju naszej duszy, ulegają silnym wstrząśnieniom, a nieraz zostają zupełnie wykolejone.

— Jakto? — zapyta ironicznie krytyk — rzucając się z niedowierzaniem cynicznem — jakto być może? Jeżeli postanowienie jest niezłomnem, jeżeli powziął je charakter silny, naonczas nic tego postanowienia złamać nie może. — Ale — powtarzam — jesteśmy tylko ludźmi... Są wrażenia silniejsze od nas samych. Dumni swą pozycyą, olśnieni pochwałami społeczeństwa, widząc w cudne szaty i zachęcające błyskotki odziane otoczenie, widząc innych w jakimś wyższym amfiteatrze, oddzielonych szrankami przyzwoitości od

reszty społeczeństwa — i my wzdychamy do owego świata i my również wdziewamy jakiś pancerz imponujący, który nas oddziela od bliźnich naszych; kładziemy rękawiczki na nasze ręce, aby ich nie podawać tak łatwo do uścisku poczciwej nędzy, i stajemy odrazu wyprostowani sztywni jak posągi systematycznem dłutem wyryte, ale bez serca i bez życia. A jednak jest jeszcze coś, co nas wyrywa niekiedy z tej apatyi. Jest to uczucie, które niezwalczoną siłą burzy wszelkie wyrachowania, zmienia czyny, hamuje pychę człowieka, niweczy arogancyę, a tem uczuciem, tym talizmane, tą ożywczą rosą dla złamanego serca, jest miłość i wspomnienie matki. Któż bowiem zdoła zapomnieć oblicza tej istoty, która patrząc z utęsknieniem w kolebkę swego dziecięcia, świat marzeń, jasnem spojrzeniem przelewa w niewinne jeszcze serduszko. Kto zdoła wydrzeć za z pamięci owe święte rysy rodzicielki swej, stroskanej najmniejszym żalem swego dziecka? Wspomnienie matki jest ową nitką, łączącą duszę z Bogiem, jest pączkiem wiecznie się zieleniejącego kwiatu w duszy, sercu i wyobraźni człowieka.

* * *

Rozmowa nie kleiła się jakoś. Nie mogli do niej znaleść wątku, aż nazajutrz, po odjeździe gości, gdy pan Henryk został sam na sam z małą Sydzią, niewiadomo jakim sposobem mimowoli przyszło do słodkiego wyznania.

— Kocham — powtarzał Henryk stokrotnie — kocham — szepnęło dziewczę zarumienione, tuląc się z rozkoszą do jego piersi.

— Przeczuwałam wczoraj ten huragan, który miotał sercem pana...

— Tak jest, najdroższy aniele — rzekł Henryk, oddychając swobodnie, jak po minionej burzy — po wyjściu za mąż panny Karoliny, mej ukochanej dobrodziejki, za mego kolegę szkolnego, pana Józefa Łapę, odetchnąłem swobodnie, sądziłem, że z upojeniem mogę się oddać marzeniom o tobie, od pierwszej chwili przezemnie ukochanej i w marzeniach moich różową tęczą opromienionej. Tak jest, przyznaję, że pokochałem cię od pierwszej chwili tą szaloną i świętę miłością, która nigdy zagasnąć nie może, której tchnieniem nieśmiertelnem dusze nasze się łączą... Ale ja mam matkę; matka ta stanęła między mną a tobą. Matka moja nie wiedziała o tem, że oprócz tego, iż jesteś aniołem, należysz także i do mej wiary. Wiedząc o mych zamiarach, bardzo często do mnie przyjeżdżała, obsypując mnie jak w dzieciństwie, swojemi pieszczotami i rozmawiając ze mną o mojej przeszłości. Matka moja nietylko jest nabożną; jest ona także bardzo zacną i rozsądną kobietą. Matka moja doszła do przekonania, że wykształcenie jest człowiekowi niezbędnem, ale nie powinien przeto gardzić ani swą rodziną, ani swą religią.

— Sądzę, kochany Henryku — rzekła panna Sydonia z powagą — że matka twoja ma zupełną słusz-

ność. Jak wykształcenie, tak i miłość bez wiary nie mają żadnej przyszłości, żadnego powabu, a iluzya owiana chłodem rzeczywistości, topnieje w materyalizmie i pozbawia nas najszlachetniejszych popędów.

* * *

W kilka dni po tej rozmowie odbył się w Tarnowie ślub pana Henryka Klein, mecenasa w Kielcach, z panną Sydonią Zielińską, na którym naszych wszystkich znajomych widzimy, rozpromienionych szczęściem naszego bohatera. Nawet pan Mrzonkowski przyjechał, a palnął przy tej okazyi mówkę o tolerancyi wogólności i o stosunku psychologii do magnetyzmu.

Był również na ślubie z panem Szachne ów Gabe Josel, który znacznie posiwiał, ale niemniej szturchał wszystkich, na wszystkie strony, a przywiózł z sobą do Wiślicy taki zapas nowin, że mu materyału do opowiadań na długo nie zabraknie.

Tymczasem nasi szczęśliwi małżonkowie młodzi wrócili do Kielc, gdzie stale się osiedlili i dotychczas jeszcze mieszkają, działając dla dobra bliźnich i szczęścia swej rodziny.

Łódź, dnia 28 Grudnia 1886 r.

KONIEC.





